Zeszyt 12. Lwów dnia 30. Kwietnia 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

XXXIII.

(C. d.) Pierwsze tygodnie pobytu w Pilawicach, były dla pana Stanisława i Wandzi jednem pasmem przyjemności. Wszystko ich zajmowało, cieszyło: on przypominał sobie dawne czasy, a gdy zobaczył Michała, niegdyś fornala, dziś gumiennego, który pod Ostrołęką, gdy kula pod nim konia ubiła, oddał mu swojego, powitał go jak druha serdecznego, jak przyjaciela, drugiego brata. Ją znowu bawiło gospodarstwo niewieście, a gdy weszła między indyki, których pani Malinowska po kilka tuzinów rocznie przychowywała, zdawało jej się, że jeszcze jest nad Gangesem, gdzie ten ptak szlachetny stanowił w ich gospodarstwie znaczne źródło dochodu. Jak dziecko wszystkiem się cieszyła, przyzwyczajając się coraz więcej do ludzi i rzeczy w tych stronach.

Pan Ludwik był nad wszelki wyraz uszczęśliwiony. Chociaż dawniej dwudziestu czterech godzin w domu nie wysiedział, teraz za próg nie wychodził, i od rana do wieczora jedynie o tem myślał, by się Wandzia nie nudziła. Oblawszy łzami gorącemi pamięć jej matki i brata, mimo że ich nie znał, zwrócił teraz na nią całą uwagę, boć po Stanisławie ona była mu najbliższą na tym świecie. Kochał ją też i bawił jak umiał.

Pan Ludwik był jednym z owych szlachciców polskich, jakich po kilku, czasem nawet po kilkunastu, liczył do niedawna każdy powiat. Nikt nie mógł o nim powiedzieć że był dobrym i nikt że był złym. Nie był dobrym, bo nie dbał o brata, ożenił się dla widoków, nie dbał o siebie i w życiu na zewnątrz bał się cieniu własnego; nie był zaś złym, ponieważ wszelkie złe, jakie kiedykolwiek popełnił, było wynikiem jego bezdennej lekkomyślności. Jeżeli mu się co uroiło, to chociażby sam Bóg z nieba zstąpił i prosił go by tego nie robił, i on w oczy mu to przyrzekł, ukradkiem pewnieby uczynił, a potem tłumaczył by się mówiąc:

— Nie chciałem źle! Bóg mi świadkiem... Ale co robić, stało się... doświadczenie!

Tych doświadczeń zbierał codzień niemało, lecz jakoś nie chciał według nich postępować, przeciwnie, jakby na przekorę zdrowemu rozsądkowi, ciągle na nowe pracował.

Pan Ludwik miał złote serce dla tych, na których patrzył, których miał przed sobą; natomiast o oddalonych zaraz zapominał... ci go nie obchodzili. On Stanisława bardzo kochał za młodu, i kochał go teraz gdy z córką do Pilawic przyjechał, ale gdy niegdyś ten sam Stanisław był daleko, ani pomyślał czy mu tam czego nie brakuje. Skutkiem tej wady wspólnej wszystkim Polakom, która nawet znalazła wyraz w ich przysłowiu: „Kto z oczu ten i z serca“ — do dziś dnia nie ma między nimi łączności, bez której narody istnieć nie mogą.

W pierwszych dniach, pan Stanisław opowiedział bratu pokrótce swoje życie, pomijając milczeniem lata ciężkiej niedoli, z której najczęściej mógł go był wybawić niewielki zasiłek od brata; gdy wspomniał o tragicznej śmierci żony, sam pan Ludwik widząc jak się brat zmienił na twarzy, prosił go by nie poruszał tych wspomnień bolesnych. O Bolciu mówił już dłużej, boć i boleść po nim, jakkolwiek głęboka, była cichsza, łagodniejsza. Na śmierć syna był on nie-

stety oddawna przygotowany, a jeżeli sam sobie tego nie mówił, to dla tego, że chciał się łudzić.

— Teraz mój Ludwiku — kończył pan Stanisław, — chyba się już dziwić nie będziesz, czemu jak dziad posiwiałem. Życie moje całe, to jedno pasmo walk, zawodów, ciosów, które rzadko przeplata złota nić szczęścia. Chwała Bogu, że jestem przynajmniej tu, na grzędzie ojczystej, i w dobrem zdrowiu ciebie widzę. Wyglądasz mój Ludwiku jak rydz. To i mnie dodaje otuchy i nadziei — dodał z gorzkim uśmiechem — że w twojem towarzystwie z czasem i ja odmłodnieję.

Pan Ludwik był o głowę od brata słuszniejszy, przed sobą nosił brzuch okazały, w ramionach był jak tur szeroki, policzki miał tłuste, rumiane, i czarne jak heban włosy na głowie. Tylko w wąsach sumiastych pokazywał się gdzie niegdzie włos siwy, z czego złośliwi korzystając, powtarzali za Węgierskim czy jakimś innym dowcipnisiem, że pan Ludwik więcej gębą niż głową pracował. Mimo tak świetnego wyglądania, ciężko teraz westchnął, a trąc czuprynę tak bratu odpowiedział:

— Trzymam się ten tego... prawda że się trzymam, ale wierz mi Stachu, to zasługa kompleksji, jak babcię kocham kompleksji! Tyś się w ojca wdał, który zawsze chyrlał i prędko posiwiał, a ja w matkę, jak babcię kocham w matkę! Przecie ją pamiętasz... do śmierci ten tego była rumiana i kwitnąca. A czy jedną miała w życiu zgryzotę! Ho, ho, druga pod ich ciężarem byłaby wyschła jak szczypa. Ale ten tego to już taka natura, jak babcię kocham natura!

— Mnie się jednak zdaje — zauważył pan Stanisław — żeś nie powinien był mieć zgryzot zbyt wielkich. Majątek był czysty, zdrowie dopisywało, chyba...

— Otóż najważniejsze to c h y b a — szybko brat pochwycił. — Gdyby nie to c h y b a, inaczej jabym dziś stał mój Stachu!

— Czy może żona? — ośmielił się pan Stanisław zapytać. Nie widząc pani Ludwikowej a domyślając się jakiejś tajemnicy, nie pytał o nią brata przez delikatność, sługi przez przyzwoitość, dopiero teraz odważył się rozmowę na nią skierować.

— Oj żona, żona! — rzekł pan Ludwik i ręką machnął. — Wolałem był nogę złamać, niżeli ją poznać. Ty przynajmniej możesz ten tego powiedzieć, żeś swoją kochał i nawzajem był kochany, gdy tymczasem ja ten tego aż drżę jak sobie ją przypomnę.

— Czy może umarła?

— Gdyby choć umarła... lecz ten tego nie, nie umarła! Ręczę że nawet pałką niktby jej nie dobił. To natura żylasta, kocia, jak zwykle u złej baby.

— Czemużeś się z nią żenił?

— Czemu? Alboż przysłowie nie mówi ten tego, że śmierć i żona od Boga przeznaczona? Ja przecie sobie źle nie życzyłem, ale djabli wiedzieli ten tego co w niej siedziało. Poznałem ją w Warszawie, na balu u pani hrabiny K., która jest naszą kuzynką, podobała mi się dosyć, bo i nieszpetna była ten tego i umiała się dobrze sprzedać, a że ojciec, Czerkies z pochodzenia, był księciem i generałem, więc ogólnie mówiono że panna Aniela ma piękny posag. Kuzynka ten tego zaczęła mnie namawiać bym się żenił, ojciec panny grzecznie u siebie przyjmował, ja zaś sobie pomyślałem, że może by to i nieźle było, gdyby nasza rodzina senatorska podniosła się jeszcze przez koligacje. Djabli tam wiedzieli ten tego, że ci książęta czerkiescy, nawet tyle nie mają majątku, ile u nas każdy szlachcic wioskowy potrafi w dziesięciu latach zrobić długów. Puszczam się, trzask prask i już po ślubie. I tak ten tego wlazłem w biedę po same uszy! Zamiast majątku spodziewanego, wziąłem tytuł pusty i grymasów pięć wozów drabiniastych. W dodatku zła była jak Ksantypa. Com wycierpiał, Bóg wie jeden! Dom przewróciła mi do góry nogami, chcąc go ten tego koniecznie z pańska urządzić, każdej zimy na karnawał do Warszawy jeździła, a w lecie do wód zagranicznych, do domu zaś sprowadzała mi kuzynki i kuzynów z całego świata i tak postępowała jakbym wcale nie istniał. Jak się to psiarstwo zjechało i po francusku szwargotać zaczęło, to ten tego doprawdy już myślałem, że z dworu pilawickiego zrobiła się wieża Babel. Wierz mi Stachu, to cud Boży żem nie zwarjował.

— Dzieci nie mieliście nigdy? — brat zapytał.

— Dzięki Bogu nigdy... ona byłaby je pewnie wydusiła. Zresztą ten tego czyż taki potwór mógł mieć dzieci? Wierz mi Stachu, to nie była kobieta, ale jakaś żmija... Jeżelim więc nie posiwiał, nie losu w tem zasługa, lecz silnej kompleksji.

— I gdzież teraz przebywa?

— Gdzie? — odrzekł pan Ludwik minę robiąc pogardliwą — Czepiła się w Warszawie jakiegoś oficera gwardyjskiego i teraz siedzi z nim w Petersburgu. Niech ją sobie ten tego trzyma, niech! Przekona się niezadługo jak smakuje ten marcypan czterdziestoletni.

— A ty Ludwiku, co na to?

— Gdybym miał dzieci, to bym się strzelał z jej gachem... ale tak... Niech idzie ten tego na złamanie karku! Przecie nie będę jej żałować... jeżelibym ten tego miał już kogo żałować, to chyba jego, że dał się usidłać takiej złej babie.

— Przecie nosi twoje i moje nazwisko — wtrącił znowu pan Stanisław.

— Prawda, lecz w tym wypadku jak zaradzić? Baba ten tego, jak raz puści się na

psy, oderwana dziś od jednego, jutro znajdzie sobie drugiego.

— A rozwód?

— Myślałem już o tem bracie i o rozwód podałem... ale rozwód mój Stachu kosztuje ten tego drogo, bardzo drogo.. Teraz czasy ciężkie, okropnie ciężkie! Ach!

Ostatnie westchnienie było tak głębokie, że pan Stanisław domyślił się całej prawdy w niem zawartej. O stosunki majątkowe brata dotąd nie pytał, wszakże z tego co widział w polu, stajniach i na gumnie, mógł już był przypuszczać, że Pilawice nie znajdują się w stanie najlepszym. Teraz dowiedziawszy się jaką była jego bratowa i zrozumiawszy gdzie należało szukać źródła złego, zaczął litować się nad swoim bratem.

— Biedny Ludwiku — rzekł — ja ciebie pojmuję i szczerze nad tobą ubolewam. Wyobrażam sobie, że pod słońcem nie ma większego nieszczęścia jak zła żona.

— O zgadłeś ten tego, Stachu, zgadłeś! — przerwał brat rozczulony.

— Ale nie martw się Ludwiku — mówił dalej pan Stanisław — nie martw. Bóg nas doświadczał, więc nas i pocieszy. Będziemy razem żyć i pracować, a to wiele znaczy. Wszak powiadają, że siłami połączonemi można wywrócić świat do góry nogami.

— Jabym ten tego nie kusił się aż o to i byłbym bardzo rad, gdybym chociaż moją biedę mógł wywrócić — odrzekł pan Ludwik z westchnieniem głębokiem.

— Cóż cię tak gniecie? Mów otwarcie... może poradzimy.

— Widzisz Stachu, zeszłego roku żona żegnając mnie cichaczem, zabrała ten tego na pamiątkę całą moją gotówkę, a w tym roku żniwo wcale mi nie dopisało. W życie stokłosa, w pszenicy śniedź, ziemniaki wygniły... Wśród takich okoliczności trudno mi było popłacić raty Towarzystwa, u którego zaciągnąłem dług gdym się żenił, i teraz mam okropne zmartwienie.

— To źle, bardzo źle — odpowiedział pan Stanisław w zamyśleniu, głowę zwieszając — ale kto wie czy na to nie poradzimy. Pomyślę ja Ludwiku, pomyślę!

Na tem skończyła się tego dnia rozmowa. Pan Ludwik uszczęśliwiony słowami brata, o którym już przypuszczał, że z Indyj gruby przywiózł majątek, pojechał do Zarzecza na polowanie, gdy tymczasem pan Stanisław poszedł do Wandzi, którą zastał w jej pokoju, czytającą „Listopad“ Rzewuskiego.

— Moja Wandeczko — rzekł obok niej siadając — chciałbym w ważnej sprawie twojej rady zasięgnąć.

— Mojej? — zapytało dziewczę i z najwyższem zadowoleniem ojca w rękę pocałowała. Wandzia była nad wszelki wyraz uszczęśliwiona, że ojciec żądając od niej rady, choć może tylko w jakiej drobnostce, tem samem uznawał ją już za pannę dorosłą, której rady mogą mieć wartość. Dla panienki w szesnastym roku, coś podobnego jest wypadkiem nadzwyczajnym, stanowiącym epokę w jej życiu.

— Jak długo żyła nieboszczka twoja matka — przemówił ojciec — radziłem się jej we wszystkiem, lecz odkąd Bóg mi ją zabrał a ty podrosłaś, sumienie nakazuje mi radzić się ciebie, zwłaszcza że życie moje jest dziś ściśle z twojem złączone. Wątpię, droga Wandziu, bym na tej ziemi mógł się kiedy z tobą rozdzielić. Nawet gdy za mąż wyjdziesz, będę starał się być przy tobie.

— I ja o tem marzę, ojczulku! — zawołała córka rozrzewniona, ponownie w rękę go całując.

— Otóż — ciągnął ojciec — ponieważ teraz mam coś ważnego uczynić, więc radbym usłyszeć twoje zdanie. Wiesz, że połowa Pilawic do mnie należy; po śmierci rodziców, pan Ludwik, jako starszy, objął majątek w zarząd i opiekę nademną, bom był małoletni. Dziś wróciłem tu jak do swego, ale przyznam ci się, że do tej chwili nie wiem jak właściwie stoją interesa mego brata, a więc i moje. Czekam aż on mi sam to powie, bo mnie jako młodszemu nie wypada być natrętnym. Gotów by pomyśleć, że go podejrzywam, chcę kontrolować, a mnie, Boże broń! myśl taka w głowie nie postała. Ja wiem, że on ma serce złote i kocha nas nad życie. O majątek zatem wcale się nie boję, jednakże rozmawiając z nim przed godziną, dowiedziałem się, że chwilowo jest on w kłopotach... ma kilka zaległych rat bankowych... a ponieważ przywiozłem nieco pieniędzy, które w Krakowie zmienione dały sześć tysięcy rubli, więc jak ci się zdaje dziecię, czy nie byłoby właściwie z naszej strony, gdybyśmy mu temi pieniądzmi pomogli?

— Jabym sądziła — szybko Wandzia odpowiedziała — że nad tem nie potrzeba się nawet zastanawiać. Wszak płacąc raty nie tylko stryjowi pomagamy, lecz także sobie, bank bowiem ciąży zapewne na całym majątku, nie zaś na samej połowie stryja.

— Masz słuszność Wandziu najzupełniejszą, chociaż zdaje mi się, że wcale nie zaszkodzi, jeżeli na tę sprawę popatrzymy jeszcze z innej strony. Wierzę, że brat ma kłopoty chwilowe, bo sam mnie tak upewniał, lecz jeżeli broń Boże położenie jego jest gorsze, słowem, jeżeli jest zrujnowany, o czem może sam nie wie, bo i to się zdarza... to pytam się ciebie, czy w takim razie nie popełnilibyśmy szaleństwa oddając mu całe nasze mienie? Jemu nie wiele by to pomogło, a my zniszczylibyśmy się zupełnie.

— Ja czegoś podobnego nie mogę przypuścić! — żywo Wandzia odparła. — Stryj Ludwik taki dobry, tak nas kocha! czyż mógłby zatem gubić nas rozmyślnie? Nie, nie, to być nie może! Zresztą — dodała po krótkim namyśle — niech tatko wpierw otwarcie z nim pomówi i zapyta go jak rzeczy stoją... Nie sądzę by się tem obraził.

— Jak to dobrze, żem się ciebie poradził — odpowiedział ojciec rozpromieniony. — Każda kobieta jest praktyczną... Zapytam więc brata otwarcie, a jeżeli mi da słowo, że sześć tysięcy zupełnie mu pomogą, dam mu je z największą chęcią.

— Tak, tak, ojczulku! — zawołała Wandzia i z uniesieniem zaczęła ojca po rękach całować. Ona była szczęśliwa, że miała ojca tak zacnego.

Gdy pan Ludwik z Zarzecza powrócił, brat poszedł zaraz do jego pokoju. Pan Stanisław miał oko wesołe, jak każdy człowiek prawy, który bądź już spełnił, bądź dopiero zamierza spełnić czyn szlachetny.

— Wspominałeś mi wczoraj — przemówił — że masz kłopoty, że raty Towarzystwa niezapłacone... Jabym może na to poradził, lecz wpierw musisz mi całą prawdę wyznać.

— Dobrze! dobrze mój Stachu! — zawołał pan Ludwik serdecznie go za rękę ściskając. — Przecie ty Stachu jesteś mi najbliższym, więc jakże ten tego mógłbym przed tobą cokolwiek utaić? Pytaj więc, ten tego, pytaj! a jak babcię kocham wszystko powiem.

— Jabym wolał — zauważył pan Stanisław — żebyś tym razem powoływał się raczej na własne sumienie, a nie na miłość ku babci, która umarła przed sześćdziesięciu laty, kiedy żaden z nas nie był jeszcze na świecie.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się pan Ludwik — panie Boże ty słyszysz a nie grzmisz! Cha! cha! cha! Masz rację Stachu, masz rację! Ale ten tego jak babcię kocham u mnie już takie przysłowie... Jeżeli jednak chcesz koniecznie innego zapewnienia, więc na uczciwość ci przyrzekam, jak babcię kocham na uczciwość, że powiem świętą prawdę... jak na spowiedzi!

— Dobrze... Powiedz mi więc teraz Ludwiku, ile wynoszą zaległe raty Towarzystwa?

— Pięć tysięcy pięćset rubli.

— A innych długów nie masz?

— Innych długów? — powtórzył zapytany jąkając się nieco — nie, ten tego, nie mam.

— Ale przypomnij sobie Ludwiku — brat napierał.

— Jak babcię... jak Boga kocham nie mam! Wprawdzie tu i owdzie jestem coś winien kupcom, którym nie odstawiłem zboża wszystkiego, bo jak ten tego wiesz, zeszłoroczne żniwo wcale mi nie dopisało... no i w kilku sklepach mam małe rachunki, ale tego przecie nie można nazwać długami.

— Ja też o takie drobiazgi nie pytam... takie należytości miewają ludzie najzamożniejsi... ja chciałem się przedewszystkiem upewnić, czyś się zanadto nie zadłużył.

— Nie, jak cię kocham Stachu, nie!

— Kiedy tak więc ci powiem, że mam sześć tysięcy rubli, które stanowią cały majątek mój i Wandzi. Cud prawdziwy, że i tyle udało mi się przywieźć, bo gdyby nie szlachetny kapitan okrętu, który za naszą podróż nie przyjął zapłaty, nasz mająteczek byłby dziś znacznie mniejszy. Otóż te pieniądze chętnie ci oddam, jeżeli je obrócisz na zaspokojenie należytości... lecz uważaj Ludwiku że to cały nasz majątek... takich pieniędzy nie wolno marnować!

— Stachu! Stachu! — zawołał pan Ludwik ze łzami, porywając brata w objęcia — ty jesteś anioł nie człowiek, jak babcię kocham anioł! Bóg ci to hojnie nagrodzi Ani byś dał wiarę, z jakich mnie kłopotów wybawiasz!... Tyś moim dobrodziejem ten tego, dobrodziejem! Przecie ja nie mam nikogo tylko was, więc i to co z majątku na mnie przypada wam zostawię Ale ty może Stachu chcesz rachunku z mego zarządu? Dobrze, ja i to uczynię, chociaż jak pragnę Boga przy skonaniu, Pilawice to wielkie gałgaństwo, rok rocznie dokładałem, jak babcię kocham dokładałem!

— Ja o przeszłości nie wspominam... mnie głównie o to idzie, byśmy mieli starość spokojną i aby moja Wandzia nie potrzebowała kiedyś szukać schronienia w cudzym domu. Toby było dla mnie najstraszniejsze.

— Na rany Chrystusa Pana zaklinam cię Stachu, nie mów tak! Przecie mając Pilawice, damy jej piękny posag, i znajdziemy jej męża jak złoto... jak babcię kocham jak złoto!

Pan Ludwik nie mógł dalej mówić, z radości bowiem i rozczulenia takie łzy zaczęły mu z oczu padać, że każde słowo zalewały. Spłakali się bracia serdecznie, a potem pan Ludwik wziął sześć tysięcy rubli, i tego samego dnia wyjechał do Warszawy aby Towarzystwo zapłacić. Jak najprędzej chciał być z powrotem i pokazać czarne na białem, że pieniądzmi tak pokierował jak bratu przyrzekł.

XXXIV.

Dom państwa Rylskich słynął z gościnności prawdziwie staropolskiej. Prócz bliższych i dalszych krewnych, do Zarzecza, jakeśmy już wspominali, zjeżdżała się młodzież z okolicy i Warszawy, a czasem, chociaż to się rzadko zdarzało, zaglądnął ktoś nawet z Krakowa i Galicji. Jeżeli mamy prawdę wyznać, tych ostatnich, przyjmowano nie tyle jako gości pożądanych, co rzadkich,

którym warto było z bliska się przypatrzeć. Słusznie czy niesłusznie, Galicjanie mieli tam opinję ludzi mało wykształconych, źle wychowanych, pełnych narowów i śmiesznych przesądów. Między nimi stanowił wyjątek p. Julian Rossowski, daleki kuzyn państwa Rylskich, którego w Zarzeczu witano zawsze z największą radością. Lecz pan Julian nie był właściwie Galicjaninem. Niegdyś mieszkał on u rodziców w Płockiem, i dopiero gdy oni pomarli, przedtem cały straciwszy majątek, tak dalece, że z fortuny znacznej, synowi zostało ledwie kilka tysięcy złotych, przeniósł się on chłopcem do Lwowa, gdzie mieszkał brat jego matki, p. Czarkowski, człowiek bardzo zamożny i stary kawaler. Ten dowiedziawszy się, w jak złem położeniu znajduje się jego siostrzeniec, wezwał go do siebie. Odtąd pan Juljan mieszkał stale we Lwowie, i ledwie raz do roku, najczęściej w lipcu, przyjeżdżał do Warszawy, zkąd na dzień lub dwa robił wycieczkę do Zarzecza. Państwo Rylscy bardzo mu byli radzi, rąz, że był ich krewnym, powtóre, że był człowiekiem młodym, przyzwoitym i rozumnym, nakoniec, że miał wuja bardzo bogatego, a w Zarzeczu były dwie panny na wydaniu...

Wandzia była pierwszy raz u państwa Rylskich z ojcem i stryjem w miesiącu po przyjeździe do Piławic; od tego czasu obie rodziny często się widywały. Indjanka, jak ją w okolicy nazywano, tak się ogólnie podobała, że nawet w żadnej z kobiet nie zbudziła zazdrości, mimo że między niemi była najpiękniejszą. Nie powiemy, aby w tem była jej tylko zasługa; wprawdzie Wandzia była dla wszystkich grzeczna i uprzejma, dla mniej zaś grzecznych bardzo nawet wyrozumiała, lecz wiadomą jest rzeczą, że są osoby, posiadające te wszystkie cnoty, a jednak nie mogące powiedzieć, że są powszechnie kochane. Aby mieć miłość świata, trzeba mieć szczęście i coś co ludzi podbija. Kobieta jedna sobie przyjaciół dobrocią serca i urokiem, który od niej wieje. Mężczyzna natomiast brakiem wybitnych przekonań i stanowczości charakteru, gdyż tylko taki innym się podoba, który do wszystkich umie się zastosować. O ile więc miłość powszechna zaszczytnie świadczy o kobiecie — o tyle mniej korzystnie mówi ona o mężczyźnie. Z pod tej reguły wyłamują się jedynie wyjątki, i to bardzo, bardzo nieliczne!

Przez środek Zarzecza płynęła rzeczułka, przezwana Młynówką, jak wszystkie jej podobne, której kazano obracać kilka młynów, tamujących jej bieg przed ujściem do Pilicy. Minąwszy wieś, Młynówka opływała od północy łany dworskie, potem zwolna, leniwo toczyła się przez łąki torfiaste, w których wyżłobiła sobie dość głębokie koryto. Ponieważ woda, zwłaszcza na wiosnę, mając bieg nadzwyczaj nieregularny, brzegi obrywała, przeto właściciel zasadził je łoziną, która do kilku lat tak się rozgałęziła, że dalszemu pustoszeniu łąki został tem stanowczo kres położony.

Na łąki, które były dosyć wilgotne, rzadko kto ze dworu wychodził; wszakże zdarzyło się raz w czerwcu, i to właśnie gdy państwo Rylscy mieli dużo gości, że panny zaproponowały przechadzkę do kosarzy. Wniosek przyjęto jednogłośnie; gdy wszyscy zebrali się już na łące, jeden z młodych ludzi zrobił uwagę, że w Młynówce musi być bardzo wiele raków, na które wartoby połów zrobić. Panienki rozciekawione jak taki połów wygląda, prosiły mówiącego, by im go pokazał, a gdy on nazajutrz przygotowawszy siatki i wędki złożył dowód niepospolitej zręczności, łapiąc kopę raków w ciągu godziny, nie tylko panienki same, lecz wszyscy bez wyjątku tak zagustowali w tej rozrywce, że odtąd kilka razy do roku, najczęściej podczas kwitnięcia pszenicy, wtedy bowiem raki mają być najlepsze, w Zarzeczu odbywała się wielka wyprawa na te brzydkie stworzenia, na którą państwo Rylscy całą okolicę spraszali.

— Śliczna zabawa! — mawiał pan Rylski, który był wielkim amatorem zupy rakowej — prześliczna! Zygmunta zawsze za nic miałem, tymczasem okazało się, że nie ma głowy tak zabitej w której by się czasem jaka dobra myśl nie urodziła. Prześliczna zabawa i wielce pożyteczna! Teraz tylko potrzeba, żeby się zjawił jaki poeta i rymem ją unieśmiertelnił. Mógł Mickiewicz opisać tak cudownie grzybobranie, czemu więc jaki mniejszy poeta nie miałby opisać rakobrania.

— Racja, jak babcię kocham racja! — potwierdzał pan Ludwik Wybicki. (C. d. n.)

SZERMIERZ PIÓRA.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

(C. d.) Chociaż byli odcięci od głównych korpusów, mało co o nich wiedząc, a z ich i tak szczupłej garstki co dzień prawie ktoś ubywał przy śmiałych wycieczkach, które robili, bądź odbijając transport więźniów, nielicznie tylko eskortowany przez Prusaków, bądź zabierając nieprzyjacielowi wozy z żywnością, w bliskiej okolicy naładowane; mimo że każdej chwili mogli ich napaść Prusacy w przeważnej sile, a wtedy nie byłoby ratunku, mała ta garstka ludzi na wszystko zdeterminowanych, nie traciła dobrej fantazji, żyjąc od dnia do dnia z lekkością i nieopatrznością prawdziwie francuzką. Trzeba dodać, że byli przeważnie młodzi, gdyż i dowódca ledwie sięgał lat czterdziestu, a młodość tak różowo na świat patrzy, orle skrzydła do ramion przypina, w nic nie wątpi, wszystkiego najlepszego od losu na pewno wyczekuje!

Nasz więc zastęp bohaterów Termopilskich — jak ich nazwał ironicznie pan Atkins — gdy tylko miał chwilę wytchnienia, jadł, pił i bawił się wesoło.

I teraz z terasy zamkowej rozbrzmiewał się głośny rozhowor, śmiechami przeplatany, a kielichy wiwatowe krążyły żwawo z rąk do rąk.

Trochę opodal od zamku, pod prześliczną grupą kilku kasztanów, tworzących razem jakby olbrzymie zielone sklepienie, leżał na miękiej murawie wyższy oficer, głowę na ręku wspierając. Przed nim jak oko mogło zasięgnąć, najpyszniejszy ogród kwiatowy roztaczał powaby barw tysiąca. Klomby ułożone artystycznie nie straciły dotąd swej letniej krasy. Tworzyły one na tle zielonej murawy cudowne arabeski, naśladujące perski kobierzec.

Jednakże całe to bogactwo nie zdawało się nęcić wzroku leżącego, ucho zaś jego jakby nie słyszało głośnej zabawy towarzyszów. Oczy tonęły w kopule zielonej, przez którą strzelały wszystkiemi szczelinami promienie słońca jaskrawego, ozłacając brzegi listków, niektóre gałęzie drzew i głowę zadumanego. A musiał być głęboko zamyślonym, gdyż nawet szybkie kroki po żwirze ścieżki skrzypiące, nie wyrwały go z zadumy, póki nie stanął nad nim człowiek młody, zdradzający mundurem stanowisko lekarza oddziału.

— Otóż macie go! — zawołał wesoło — znowu leży i marzy, gdy ja w pocie czoła zdobywam dla niego wawrzyny popularności i przyszłej nieśmiertelności! Ależ prawda! to ciebie najmniej obchodzi.

Napadnięty z nienacka, podniósł się do połowy, a otrząsając się z zadumy, odrzekł spokojnie:

— Mam dziś we wsi inspekcję nocną, o szóstej muszę już tam odejść.

— I dla tego o trzeciej już nas porzuciłeś. Przyznaj się przynajmniej szczerze Ludwiku, żeś dla tego po prostu uciekł od nas i schronił się do tej oddalonej od zgiełku światowego świątyni milczenia, boś zmiarkował, że mam zamiar — o zgrozo! — odczytać jedną z twoich genialnych poezji, którą znowu, mój ty kochany dziwaku, musiałem ci wykraść podstępem i zdradą. Zresztą ucieczka na nic ci się nie przyda. Prędzej czy później złapią cię koledzy i zrobią owacją dotąd niepraktykowaną. Nasz major klnie na czem świat stoi — a wiesz, że u niego źródło przekleństw nie łatwo się wyczerpuje — by wyrazić dobitnie, że w życiu nic tak genialnego nie słyszał. Adjutant przeciwnie — nasz czuły adonis z kędziorami jasno blond i jasno niebieskiemi oczyma, który ile mnie się zdaje, biedzi się też po trochę literaturą, ale nie śmie przy tobie wystąpić z płodami swej muzy nadwornej, gdyż mu okrutnie imponuje twój geniusz i uczoność do tego — otóż adjutant w mowie pełnej namaszczenia i zwrotów poetycznych, wykłada nam jak na dłoni, jak powinniśmy się czuć dumni i szczęśliwi, że nam Opatrzność zesłała barda natchnionego, którego pieśni są tak potężne i ogniste, iż skruszyłyby bezwątpienia nieprzyjaciela i zmusiły do odwrotu, gdyby je tylko rozumiał. Mowa była trochę za długą. Wada to ponoś wszystkich wielkich mowców. Kadeci zachwycali się twoją poezją, jakby jaką piękną twarzyczką dziewczęcą, a gruby kapitaś tak się zasłuchał, że nawet pić zapomniał i pełny kieliszek stał przed nim przez cały czas mojej patetycznej deklamacji. Jeżeli to nie nazywa się wywołać efekt, wzbudzić zapał i święcić tryumf, który nie ma sobie równego, to chyba powiesz, że słońce nie świeci w południe!

— Dałbyś pokój Alfredzie tym żartom niewczesnym! — odrzekł oficer niechętnie, kładąc się napowrót pod drzewa.

— Żarty! Daję ci najsolenniejsze słowo honoru, że jednego słówka nie dodałem! Słyszysz przeciągły brzęk kieliszków? Cały nasz korpus oficerów pije twoje zdrowie, dając ci przytem patent na nieśmiertelność. Mnie delegowano, abym zbiega koniecznie odszukał i dostawił im żywego czy umarłego! Owację musisz wytrzymać, od tego się nie wywiniesz!

— Oszczędź mi jej. Wiesz, jak mi są wstrętne podobne komedje.

— Czarna niewdzięczności poetów! Nam twoje pieśni biją jak szampan do głowy! serca rozpierają takim zapałem, że każdy z nas gotów pojedynczo rzucić się na baterje armat, a ten człowiek nazywa to komedjami! Więc nie pójdziesz? Zapowiedziałem im to z góry, że Servigny zawsze gotów do ataku lub do służby choćby najcięższej, lecz gdy mu kto chce oddać hołd należny, gotów się w myszą dziurę schować, byle tego uniknąć. Musisz przecie oduczyć się Ludwiku tej dziewiczej skromności i nieśmiałości. Nie przystoi ona wcale przyszłemu Francji gieniuszowi.

Servigny powstał, nakrył głowę, pałasz podniósł z trawy i przypasał. Kto widywał dwa miesiące temu tego uczonego profesora na katedrze uniwersytetu w L., ten by go pewno nie poznał i nie odszukał, w młodym, dzielnym wojowniku, jakim się teraz przedstawiał. Twarz od słońca ogorzała, straciła zupełnie ową bladość i chorobliwość, lica się wypełniły, oczy blasku nabrały, a piękna broda i wąsy wcale już okazałe, nadawały rysom wyraz prawdziwie męzki. Cała postać silna, elastyczna, o ruchach śmiałych, młodzieńczych, robiła wrażenie najkorzystniejsze. Ręce nawet, niegdyś tak słabo wyglądające, straciły wprawdzie swoją przeźroczystą delikatność, lecz dziś niktby już nie śmiał wątpić, że czegoś nie potrafią, bo w niejednej potyczce dowiodły, że pałasz równie im przyrósł do dłoni, jak niegdyś pióro i że nim potrafią „s z e r m i e r z y ć“ doskonale! Cudów dokazały tych kilka tygodni w trudach wojennych spędzone. Na pierwszy rzut oka widziało się dokładnie — jak znakomite i niespodziewane skutki wywarła na cały organizm kuracja heroiczna przez dr. Etienne doradzona.

— Za nadto łaskawy sąd wydajecie o moich pieśniach — odrzekł wahająco — wiersze które wywołuje chwila, jak czasy obecne, wzbudzają zapał, bo są jakby wiernem echem serc i umysłów miljonów! tylko że nie każdemu jest dane, módz ubrać swe myśli i uczucia w szaty godowe poezji. Gdy czasy owe miną, serca ostygną, umysły się uspokoją, przebrzmią moje pieśni i nikt więcej o nich nie wspomni!

— Myślisz! Pozwolę sobie przeciw temu zaprotestować najenergiczniej! — zawołał młody doktór, tym razem całkiem na serjo. — W twoich pieśniach jest coś więcej niż gwar wojny, błysk fajerwerku, który olśni nagle wszelkiemi tęczy kolorami, by za chwilę trochę zaledwie czczego dymu za sobą zostawić, twoje pieśni przenikają do głębi, jak promień słońca, który całą naturę do życia budzi na wiosnę, bo w nich jest ciepło serdeczne, myśl wyższa, przywiązanie najszlachetniejsze do kraju rodzinnego. Twoje pieśni będą zawsze odbiciem uczuć podnioślejszych, serc gorętszych, a tych nie zabraknie przecież nigdy na ziemi francuskiej!

— Entuzjasto mój kochany! odparł Servigny ściskając serdecznie dłoń Alfreda i uśmiechając się smętnie. — Ktoby to powiedział, żeś ty uczniem Eskulapa! Ot! dziś, jutro mój przyjacielu... kula pruska zrobi zapewne porządek z moją wielką przyszłością, geniuszowi skrzydła podcinając — śmierć — wszystko zakończy!

Twarz Servigniego przybrała obraz ponury, prawie rozpaczliwy, Alfred żachnął się niecierpliwie.

— Czy ty nigdy nie pozbędziesz się tych myśli o śmierci Ludwiku! zaczynam cię posądzać, że chyba musisz się kochać — bez nadziei.

— Ach! cóż znowu! dzieciństwo! — zawołał gniewnie Servigny, na bok twarz odwracając. Żywy rumieniec oblał lica, tak jak niegdyś przy każdem żywszem uczuciu, lub podrażnieniu, tylko na twarzy bladej był on widoczniejszy, niż dziś na męzkiem, ogorzałem obliczu.

Gwałtowne wzruszenie, przy tym szybkim zwrocie, uszło też zupełnie uwadze doktora. Był on także z miasta L*, młodszy kolega dr. Etienne. Był już pierwszym assystentem przy głównym szpitalu i jemu wojna przerwała karjerę — na drugi rok spodziewał się na pewno zostać profesorem patologji. Znali się pobieżnie z Servigny'm, ale jakto się z nim w owych czasach znał każdy. Znajomość kończyła się zwykle na zimnym ukłonie i kilku słowach, które musiano niezbędnie zamienić z sobą. Tak im przeszły trzy długie lata! Życie w obozie i w ich stosunkach cudów dokazało! Lody konwencjonalności stopniały w kilku godzinach, a w dni kilka byli już przyjaciółmi serdecznemi.

Zawsze wesół i żartobliwy Alfred, roześmiał się w głos sam ze siebie i ze swego nader zabawnego przypuszczenia.

— Śmieszna idea! to prawda! Chciałbym wiedzieć, jak, kiedy i gdzie mógłbyś był ty się zakochać! Od kiedy jesteśmy razem, na krok cię nie odstępuję, jakby twój anioł opiekuńczy! a co się tyczy miasta L. wiem przecie, żeś nigdy okiem nie rzucił, słówka jednego nie zamienił, z tą niebezpieczną połową, niby to słabszą! rodzaju ludzkiego, która na nas resztę śmiertelników tak przeważny wpływ wywiera, tak nieraz doskonale na sznureczku nas wodząc. Trzeba też przyznać, że cała płeć piękna mściła się na tobie okrutnie! Ogłosiła cię dziwakiem, odludkiem, zaprzysięgła nie obdarować cię w życiu, ani jednym uśmiechem, ani jedną z tych strzał zabójczych, których każda piękna kobieta posiada cały arsenał li w swoich dwóch źrenicach; jednem słowem, rzuciły na ciebie klątwę wielką i małą!

Servigny wcale nie przerywał, tych słów lejących się jak potok niewstrzymany, z ust gadatliwego francuza, ciągle jeszcze coś poprawiał przy swoim pałaszu.

— Stary Etienne zgadł doskonale — prowadził Alfred dalej gawędę, trochę odpocząwszy — wtedy nie wierzyłem co prawda, jego diagnozie, gdy mi to przepowiadał, odprowadzając cię aż do Brestu i gorąco mojej opiece doktorskiej polecając. Byłem silnie przekonany, że wkrótce przyjdzie mi wypełnić moje przyrzeczenie i że będziesz z pewnością pierwszym moim pacjentem. Widząc atoli jak ci z każdym dniem sił przybywa, jak rozrastasz się i mężniejesz; gdy zresztą w skwary sierpniowe, najsilniejsi ludzie padali jak muchy, a ty marsze najuciążliwsze odbywałeś jak przechadzkę, wszelkie niewygody, głód i pragnienie znosiłeś mężnie i wytrwale, musiałem wreszcie schylić głowę przed rozumem i przenikliwością mego starszego kolegi, podziwiając trafność uwag jego. Pokazało się najdowodniej, jak silną jest twoja konstytucja, pyszna, lwia natura! tylko to wieczne siedzenie za stołem i ślęczenie nad książkami, tak ją było osłabiło. Któżby jednakże mógł się spodziewać, że najlepszem lekarstwem wzmacniającem twoje nerwy zniszczone, będzie huk armat i nieskończone trudy wojenne! Toż to będzie podziwienie ogólne, gdy cię takim zdrowym i silnym w L* napowrót zobaczą.

— Jeżeli wrócę...

— Znowu zaczynasz! Dajże już raz pokój tym przeczuciom! Oddajesz się im z prawdziwą namiętnością!

— Czuję to doskonale!

— Bujna wyobraźnia, nic więcej! Jeżeli kogo, to ciebie kule się nie imają. Nie bierz mi za złe Ludwiku, lecz przesada nigdy dobrą nie jest. Twoje męstwo graniczy po prostu z szaleństwem! Gdy raz jesteś wśród niebezpieczeństwa, nic nie widzisz, nie słyszysz, tylko naprzód i naprzód! Ogólne to zdanie wszystkich kolegów naszych, żeś najodważniejszy z nas wszystkich.

Na ustach Servigniego, zaigrał uśmiech gorzki i bolesny:

— A przecież dawniej, każdy z was miał mię za niedołęgę, tchórza nieledwie!

— Tak źle nie było! — odrzekł Alfred z całą otwartością. — Mieliśmy cię zawsze za człowieka zacnego i ceniliśmy cię wysoko, dla twojej wielkiej nauki i pracy wytrwałej. To jednak musisz sam przyznać, żeś wcale nie wyglądał na bohatera! Z daleka czuć od ciebie było pleśń starych pargaminów, a ta niepraktyczność, roztargnienie w życiu codziennem, wszystko zdradzało uczonego, który nic nie widzi poza swoim światem książkowym i nic go zresztą nie obchodzi, co dzieje się w teraźniejszości. Zaraz po pierwszej potyczce zmieniliśmy zdanie zupełnie i głośno okazaliśmy ci nasze uznanie i szczere uwielbienie.

Servigny znowu się smutno uśmiechnął patrząc przed siebie. Oczy jasne nie zmieniły się wcale. Patrzyły na świat z dawną tęsknotą i zadumą głęboką.

Przy bramie do parku prowadzącej, dały się słyszeć ciężkie kroki i wnet wysunęła się z pomiędzy drzew wysoka postać Jakóba, której też życie wojskowe posłużyło, nadając jej ruchy mniej niezgrabne, chód robiąc elastyczniejszym, a plecy niegdyś w pół zgjęte wyprostowując, jak na żołnierza przystało. Jacque miał minę uszczęśliwioną swoją nową godnością, zbliżał się teraz krokiem podwójnym, z głową do góry podniesioną, wyprostowany jak struna, do panów rozmawiających, i salutował ich z całą wojskową precyzją.

— Panie poruczniku, melduję że na dole we wsi stoi powóz z Anglikami, którzy proszą o pozwolenie przejechania przez nasze forpoczty, dalej w góry.

Servigny obrócił się szybko. Zamyślenie i tęsknota znikły bez śladu, był teraz cały swojej „służbie“ oddany.

— To niemożliwe! Nikt nie może tędy przejeżdżać. Nasze forpoczty rozumie się powóz zawróciły?

— Tak! ale Anglik lamentuje okropnie, nie chce słyszeć o tem! Mówi że ma ważne papiery, które chce pokazać panu majorowi, albo porucznikowi „na służbie.“

Servigny spojrzał na zegarek.

— Czas mi zresztą do wsi się udać — przemówił do Alfreda — niemiła historja! Będę musiał zawrócić z drogi biednych, niewinnych podróżnych, którym zapewne bardzo na tem zależy, żeby mogli jechać dalej. Rozkaz jednak jest najostrzejszy, żeby dla nikogo wyjątku nie robić.

— Tobie to zdaje się nieprzyjemnem, a mnie przeciwnie cieszy niewymownie, że przynajmniej czasy wojenne przepłoszą trochę tych Anglików i ukrócą ich dumę niespożytą. Wyobrażają sobie że cały świat, to jedna wielka gospoda, gdzie oni zajeżdżają, by na chwilę nudów się pozbyć i o spleenie zapomnieć. Jeżdżą z tem silnem przekonaniem, że za swoje funty wszystko kupią, wszystkiego dostaną i wszyscy im się nisko kłaniać będą. Nieznośne plemię kramarskie! Przyznaj że tak się dzieje po największej części.

— Idziesz ze mną? — spytał Servigny, nic na tę filipikę, wymierzoną przeciw synom Albionu nie odpowiadając.

— Nie! Powracam na zamek. Radź sobie sam z Anglikami i z twoim tryumfem, do którego gotują się również nasi kadeci, na dole we wsi rozłożeni. Słuchajże Ludwiku, gdy skończysz twoją ronde inspekcją, powróć do nas choć na godzinkę, wypić ponczu szklaneczkę. Kapitaś jeden, odmawia ci dotąd patentu na wielkość uniwersalną, bo nie dość dobrze pijesz. Trzeba koniecznie żebyś i pod tym względem ustalił twoją reputacją.

Z nowym wybuchem wesołego trzpiotowatego śmiechu, pożegnał Alfred Servigniego, który wybrał się na dół ku wsi zmierzając.

Poczciwy Jacque, szedł za nim krok za krokiem, nie spuszczając oka z pana swego. Teraz atoli patrzał na niego z zupełnie innym wyrazem. Dawniej spozierał na pana z trwogą, jak na dziecko nieletnie, bezsilne, nieporadne, któremu co chwila grozi niebezpieczeństwo. Dziś patrzał na swego porucznika z uwielbieniem, podziwieniem i najwyższem uszanowaniem. Przywiązanie poczciwego sługi, które już odbyło niejedną próbę ogniową, przeszło w przysłowie u całego oddziału. Mówiono: „Wierny jak Jakób dla swego pana.“

W środku wioski, przed gospodą dość obszerną i jak na wieś wcale porządną, stały dwa powozy, z których jeden dawniej już przybył, i o nim to Jacque opowiadał, drugi zaś właśnie nadjechał. Pierwszy powóz już był zawrócony z drogi, a jego właściciel, człowiek nie młody, nie umiejący języka francuzkiego, starał się jednakże połapanemi tu i owdzie wyrazami, dać do zrozumienia wiele rzeczy podoficerowi, stojącemu z nim na podniesieniu, giestykulował ogniście, ale widocznie nadaremnie. Jedno tylko obiecywano mu, że wkrótce nadejdzie porucznik, mający inspekcją i ten sprawę jego załatwi. Niemłody pan wychodził z gospody na ulicę cały zirytowany, czerwony, z czołem zmarszczonem i brwiami gniewnie ściągnietemi, gdy drugi powóz nadjechał z przeciwnej strony, z którego również ktoś wysiadł, idąc ku domowi. Spojrzeli jeden na drugiego i jednocześnie zawołali zdziwieni nadzwyczajnie:

— Pan Atkins!

— Pan Alison!

— A pan zkąd wziąłeś się tutaj? — zapytał pierwszy Alison, ochłonąwszy prędzej z wrażenia silnego.

— Ja naturalnie z L* przybywam. Ale zkąd pan raptem tu, we Francji wyrosłeś, gdy my na pewno spodziewali się, że zwidzasz Niemcy obecnie.

— Nie było tam co robić, nie było z kim i o czem mówić; tak wszystko wojną zajęte, zagorzałe! Pojechałem więc na samym początku wojny, gdy jeszcze komunikacje jakkolwiek wolne były do Paryża, chcąc być bliżej miss Jenny na wszelki wypadek i chcąc ze stolicy Francji śledzić ruchy wojenne. Nie spodziewałem się, że wojna przybierze tak olbrzymie rozmiary, i na lata prawie zechce się przeciągnąć. Mówią na serjo o oblężeniu Paryża, wszyscy z niego uciekają, więc i ja się wyniosłem, ku wam zdążając, gdy tu mnie gwałtem zatrzymano, mimo iż mam wszystkie papiery w porządku.

— Z nami to samo zrobiono.

— Z nami? — powtórzył Alison gorączkowo, a tknięty nagłem przeczuciem, zawołał z żywością — nie śmiem nawet robić sobie nadziei, że mogłaby miss Forest być pańską towarzyszką?

— Właśnie ze mną tu przybyła,

Alison zrobił poruszenie, jakby chciał rzucić się ku powozowi, lecz powstrzymał się nagle. Byłoż to przypomnienie ostatniego z Joanną spotkania lub inna przyczyna, dość że ostygł w zapędzie, nie spojrzał nawet w stronę powozu, tylko ze spokojem, który nie wyglądał naturalnie, przeciwnie czuć w nim było przymus, prowadził dalej rozmowę z Atkinsem.

— Ale że pan, a tem bardziej miss Forest znajdujecie się tutaj, wśród ewolucji wojennych?

Atkins przeczuł pytanie, całkiem zresztą słuszne i przygotował się dawno z odpowiedzią.

— Zkąd! a no! chcieliśmy właśnie przypatrzeć się z bliska, sprawom tak niezwykłym i nader interesującym.

Od ośmiu dni napawamy się tym widokiem i jak pan widzisz wracamy do domu, mając już wszelkich tych przyjemności po wyżej uszu! Państwo Etienne będą tryumfować, gdy usłyszą, żeśmy nie wszystko przeszli! Odchodzili prawie od zmysłów nad tym nowym kaprysem miss Forest i nad moją dla niej uległością.

Zimny, ironiczny uśmiech zaigrał na ustach Alisona.

— Prosiłbym pana raz na zawsze, żebyś raczył nie kłaść mię na jednej szali co do łatwowierności z państwem Etienne. Jeżeli im ten błahy powód wystarczył, to ja znam zanadto miss Forest, żeby przypuścić u niej podobnie romantyczną i niedorzeczną zachciankę. Ostatnią byłaby do powzięcia myśli tak szalonej! a i pan dla samego kaprysu nie byłbyś znowu jej tak powolnym sługą!

Atkins przygryzł usta i ta sarkastyczna odpowiedź, bynajmniej go nie zdziwiła.

— Więc bądź pan łaskaw wymienić mi prawdziwy powód, który sprowadził państwa oboje na miejsce tak niewłaściwe — przemówił znowu Alison, tonem jeszcze ostrzejszym niżeli przedtem.

— Idź pan sobie po odpowiedź do niej samej — zawołał gniewnie Atkins, chcąc zrzucić na Joannę całą odpowiedzialność i nie wiedząc zresztą, w jaki sposób zechce ona tę sprawę załatwić.

— Tak też zrobię — odrzekł Harry ponuro i przystąpił do powozu.

Joanna miała czas oswoić się z jego zjawieniem raptownem. Od pierwszej chwili oka z niego nie spuściła gdy z Atkinsem rozmawiał. Uznała przecież niepodobieństwo zostania dłużej wśród takich niebezpieczeństw i wracała nazad do miasta L*, by z tamtąd robić dalsze poszukiwania. Trakt wielki, którym przybyli jeszcze, był już w ręku Prusaków, puścili się więc przez góry i tym sposobem natrafili na oddział Franctireurów, który w górach się ukrywał. Ten sam zbieg okoliczności, sprowadził z przeciwnej strony Alisona. Tak jedni jak i drudzy nie przepuszczali przejezdnych przez swoje forpoczty, bojąc się zdrady, przewożenia depesz i tym podobnych ewentualności.

Joanna prędko zapanowała nad sobą. Jakkolwiek straszną była dla niej owa chwila w hotelu w mieście D*, kiedy w rozpaczy i boleści bezmiernej, do Boga o pomoc wołała — Bóg jeden tylko o niej się dowiedział, nikt zresztą nie tknął jej tajemnicy, nikomu się nie zwierzyła, wszystko utonęło w jej sercu, chociaż było tak głęboko zranione. Towarzysz podróży, zobaczył ją w kilka godzin później jak zawsze niezbadaną, niedostępną, opancerzoną potrójnie, dumą, skrytością i zimnym spokojem. Na powitanie Alisona uzbroiła się także w wyraz twarzy tak lodowato obojętny, że każdy inny byłby zadrżał przed nim, tylko nie równie jak ona zimny, dumny i umiejący w danym razie panować nad swemi uczuciami, młody Amerykanin. Po wyjeździe z L* był on zwątpił zupełnie w przywiązanie narzeczonej. Wiedział, że w czasie będzie mógł jedynie odwołać się do praw swoich i słowa danego. I na to był bądź co bądź przygotowany.

Z zimną, ceremonialną grzecznością przywitał się i pomógł jej wysiąść z powozu. Podał jej następnie ramię i poprowadził do ławki przed gospodą w cieniu drzew umieszczonej, udzielając im przytem pocieszającej wiadomości, że wkrótce nadejdzie porucznik mający dziś we wsi inspekcją i ten zapewne oglądnąwszy ich papiery, nie będzie sprzeciwiał się dalszej podróży.

Atkins uszczęśliwiony! poszedł do woźnicy, żeby jak zwykle na migi, dać mu niektóre informacje, którędy teraz pojadą.

Joanna usiadła na ławce, wiedziała że teraz przyjść musi do tłumaczenia, dlaczego tu się znajduje. Czy będzie chciała się tłumaczyć? — to inna była kwestja, bardzo wątpliwa, tak ostro usta zacisnęła, tak zimnym i dumnym był wyraz jej twarzy,

Alison nie spieszył z pytaniami. Okiem badawczem śledził jej rysy, lecz nadaremnie, nic w nich nie wyczytał; była to dla niego księga zamknięta. Joanna wytrzymywała wzrok jego walecznie, nie drgnąwszy i na wzajem mierząc go wzrokiem śmiałym.

— Cóż to za niespodzianka dla mnie niesłychana — przemówił wreszcie Alison — spotkać cię tutaj Jenny!

— Niewiększa jak moja, zobaczyć pana nagle we Francji, w czasie, kiedyś miał jeszcze Niemcy zwiedzać.

— Przecież mogłaś się mnie lada chwila spodziewać z powrotem, zapowiedziałem to będąc w L* jeszcze, że jeżeli wojna przybierze groźne rozmiary, przyjadę wywieść cię z Francji. Dążyłem prosto do L*, myśląc, że cię tam na pewno zastanę, zdaje się jednakże, że pobyt tamże, musiał cię znudzić niezwykle, kiedy wolałaś przejażdżkę tak niebezpieczną, byle z tamtąd wyrwać się trochę.

Mimo że dość ostro przemawiał, czuć było w tonie jego pewne zadowolenie. Zdradzało ono, jak się bał pobytu w L*, kiedy przyjemniej mu było zastać miss Forest narażoną na tysiączne niedogodności i niebezpieczeństwa wojny, w miejscu dla kobiety najniewłaściwszem, niżeli spokojnie ukrytą w domu wujostwa.

Joanna nie potrzebywała tym razem odpowiadać, gdyż Atkins powrócił i usiadł koło niej na ławce. Alison zmarszczył brwi z nieukontentowaniem widocznem, zdawało się jednak, że przy Atkinsie nieżyczy sobie prowadzić na ten temat rozmowy, gdyż umilkł zupełnie. Kilka minut trwało to dla wszystkich tak dręczące milczenie. Pytania zkąd? dlaczego? zdawały się pływać w powietrzu, a nikt jakoś nie chciał poruszyć pierwszy, tych kwestyj nader drażliwych. Wreszcie Atkins przerzucił się na pole polityki.

— I cóż pan mówisz na te niesłychane wypadki! Gdyśmy się w L* żegnali, czy spodziewał się z nas który coś podobnego?

— Ja byłem na to zupełnie przygotowany — odparł krótko Alison — miss Jenny świadkiem. Przypomnisz sobie miss, com ci mówił wtedy.

— Ja nie, co prawda — odrzekł Atkins. — Ta Francja! tak śmiało wyzywająca! tak zwykle niezwyciężona! Któż mógł oczekiwać podobnego kataklizmu? Żeby choć jakokolwiek było szczęście nierówne! żeby gdziekolwiek była

zwyciężyła, była zatrzymała na dni kilka powódź armji pruskiej, ale to od pierwszej prawie potyczki złamana, zniszczona, zdeptana nogami, to przecież niepraktykowane!

W Alisonie odezwała się krew wolnego syna Ameryki.

— Poczekajmy — rzekł zimno — co teraz zrobi republika?

— Co może zrobić? kiedy krocie w niewoli! wszystkie fortecy poddały się Prusakom! ledwie jeszcze gdzie niegdzie włuczy się jak ot tutaj, garstka Franc-tireur'ów bez butów i odzienia! Nas! spokojnych ludzi potrafią zatrzymywać, ale niech no by się oddział Prusaków pokazał, toż to by zmykali ci bosi bohaterowie.

A niech ich też raz nauczą Niemcy rozumu! niech im wybiją z głowy głupią fanfaronadę! niech ten naród próżny, lekkomyślny..... (C. d. n.)

ADWOKAT POKĄTNY.

I.

Kto nie pamięta pana Januarego, który jeszcze rok temu mieszkał na przedmieściu Łyczakowskiem, we własnej, jednopiętrowej kamienicy? Jedni znali go osobiście, drudzy z reputacji, a inni znowu widywali go co dzień rano, jak wyszedłszy z domu, wstępował przykładnie do kościoła św. Antoniego, gdzie jeszcze przykładniej całej Mszy świętej słuchał klęcząco, z oczyma ku niebu wzniesionemi. Dopiero po takiem duszy umocnieniu, spieszył pan January do miasta w różnych interesach. A ważne i rozległe musiały być te jego interesa, ponieważ zdarzało się bardzo często, że do domu wracał dopiero późną nocą, ku wielkiemu zmartwieniu jedynaczki, panny Pelagji, która napróżno dzień cały czekała ojca z objadem.

Pan January jest wzrostu miernego, budowy krępej i silnej. Wąsów nie nosi, twarz ma zawsze starannie ogoloną i tylko na obu policzkach zostawia krótko przystrzyżone i wąskie bokobrody, które z rzadkim zarostem powyżej krtani, robią go podobnym do Anglika, nieumiejącego po angielsku. Małe, siwe oczy skaczą mu jak na sprężynach; czoło wydatne świadczy o zdolnościach, a łysina na głowie zdaje się mówić, że jej właściciel nie należy do ludzi, którzy bezmyślnie przez ten świat przechodzą.

Zkąd się wziął we Lwowie, tego nikt nie może powiedzieć. Wprawdzie głuche wieści niosą od niejakiego czasu, że pan January Grzegorczuk był dawniej na prowincji bardzo zdolnym adwokatem, i że spisując jakiś testament myślał nierównie więcej o sobie, niżeli o legalnych spadkobiercach testatora, za co przez przeciąg lat kilku studjował architekturę domu karnego; gdy jednak wiadomą jest rzeczą, że sąsiedzi nie lubią mówić dobrze o bogatszych z pomiędzy siebie, a pan Grzegorczuk słusznie czy niesłusznie, ma reputację człowieka bardzo zamożnego, rzecz więc łatwa do zrozumienia, że tym oszczerczym pogłoskom wiary nie dajemy.

Po dłuższych a skrzętnych poszukiwaniach, najpierw tyle powiodło nam się dowiedzieć pewnego, że przed laty kilkunastu pan January kupił na przedmieściu Łyczakowskiem od jakiejś wdowy bezdzietnej kamieniczkę za pięć tysięcy, która już w rok później była warta najmniej sześć razy tyle, ponieważ miała ogród obszerny i plac od ulicy przydatny pod budowę; później mówili nam inni, że do tej kamieniczki sprowadził się z córką i z żoną, która gdy wpół roku umarła, przez męża bardzo okazale została pochowaną; nakoniec słyszeliśmy od tych, którzy w sprawy sąsiedzkie najlepiej są wtajemniczeni, że pan Grzegorczuk zajmuje się pokątną adwokaturą i lichwą, które rok rocznie o kilka tysięcy powiększają jego fortunę.

Mimo lat pięćdziesięciu pan January doskonale wygląda, nawet siwe włosy nie pokazały mu się do tej chwili na skroniach, i gdyby ubior jego był nieco staranniejszym, chcąc, mógłby jeszcze nie jednej przekwitłej piękności głowę zawrócić.

Ale pan January nie myśli o takich rzeczach! To nie trzpiot, to człowiek stateczny, ojciec wzorowy, który przy każdej sposobności zwykł powtarzać:

— Mnie już nie do świata... Ja żyję dla mojej Pyzi i dla niej pracuję... Dla mnie cztery deski.

Jeżeli byli ludzie, którzy mając uprzedzenie do adwokatów pokątnych, przypisywali panu Januaremu najgorsze skłonności i ani jednej suchej nitki na nim nie zostawiali, słysząc z jakiem uwielbieniem wyrażał się o swojej jedynaczce, kończyli zawsze rozmowę:

— A jednak trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że jest ojcem wzorowym. Drugiego takiego ojca nie znajdzie pod słońcem.

II.

Panu Januaremu wiodło się bardzo dobrze i gdyby nie pani Eufemia, na widnokręgu jego żywota prawdopodobnie nie byłoby ani jednej chmurki.

Pani Eufemia była najbliższą jego sąsiadką, bo dwupiętrowa jej kamienica przytykała do kamieniczki pana Grzegorczuka. Sąsiedzi żyli jakiś czas w harmonji wzorowej, dopóki zły duch nie podszepnął pewnego poranku ojcu pięknej Pyzi, że ponieważ od przybytku głowa nie boli, więc zdrowiu adwokata wcale by nie zaszkodziło, jeśliby obie kamienice przeszły na jego własność. Zaledwie myśl ta zrodziła się w głowie naszego znajomego, natychmiast postanowił ją urzeczywistnić, i w tym celu posłał jednego z najbliższych swoich znajomych do pani Eufemji, proponując jej kupno kamienicy.

Pani Eufemia mimo że wdowa, rozumiała się dobrze na interesach; to też gdy usłyszała propozycję sąsiada, zapytała natychmiast, ileby pan Grzegorczuk był gotów ofiarować za jej posiadłość. Ojciec pięknej Pyzi podał taką cenę, że czterdziestoletnia pani Eufemia mimo tuszy bardzo poważnej, skoczyła z kanapy na równe nogi i krzyknęła do pośrednika:

— Powiedz mu pan, że ja się nie dam tak obedrzeć jak nieboszczka pani Zagórska... Niech innych rozbija, nie mnie!

Przyjaciel powtórzył do słowa wszystko co słyszał. Pan Grzegorczuk zmarszczył brwi, chwilę pomyślał a potem czoło potarł i rzekł:

— Zobaczymy!

Od tego czasu rozpoczęła się walka śmiertelna między właścicielami obydwu kamienic. Pan January znalazł w dokumentach, że plac na którym stała kamienica pani Eufemji, tworzył niegdyś całość z tym placem, na którym pani Zagórska, jego poprzedniczka, swój dom postawiła, i że na całą tę posiadłość kasa oszczędności pożyczyła kilka tysięcy. Pani Zagórska odprzedała wprawdzie część posiadłości mężowi pani Eufemji, ale dług nie został rozdzielony i cały ciężył na jej własności, to jest na teraźniejszej kamienicy pana Grzegorczuka.

Pan January zastanowiwszy się głęboko nad tą sprawą, przyszedł do przekonania, że sprzedaż ówczesna była nielegalną, albowiem nie wolno sprzedawać rzeczy, długiem hipotecznym obciążonej, poczem oświadczył najdroższej Pyzi, że kamienica pani Eufemji musi mu być oddaną i to w czasie stosunkowo bardzo krótkim. Pyzia nie mogła zrozumieć, na mocy jakiego prawa sąsiadka zostanie wywłaszczoną, ale ponieważ nie raz i nie dwa słyszała, że w Austrji wszystko jest możliwe, więc jakkolwiek niechętnie, utwierdziła się i ona w przekonaniu, że ojciec zwycięży panią Eufemię.

W kilka dni po niegrzecznem rozstaniu się z pośrednikiem pana Grzegorczuka, pani Eufemia dostała pozew, skutkiem czego walka między sąsiadami stała się namiętną i głośną na całe przedmieście.

Pan January przechodząc koło kamienicy sąsiadki, uśmiechał się zawsze ironicznie, a kłaniał bardzo uprzejmie, jeżeli właścicielka była na balkonie lub w oknie; co miesiąc zaś posyłał jej nowego pośrednika, ofiarując za kamienicę każdym razem mniej o 500 guldenów jak pierwotnie. Pani Eufemia, która dobrem wychowaniem nigdy się nie odznaczała, na każdy ukłon odpowiadała niegrzecznością, a gdy to nie pomogło, kazała swojej służbie wyrzucać i wylewać przez parkan na podwórze sąsiadowi wszystkie śmiecie i nieczystości. Pan Grzegorczuk znosił to milcząco, lecz po każdym takim czynie sąd otrzymywał od niego nowy pozew, który piorunem uderzał potem w okazałą tuszę pani Eufemji.

— Już ja ją rozumu nauczę! — powtarzał sobie pan Grzegorczuk... Przekona się ta czarownica, że nie przelewki z takim jak ja prawnikiem! Zobaczymy czyja będzie kamienica...

III.

Dzień był piękny, lipcowy. W takim dniu, zwłaszcza przed południem, wszystko żyje, wszystko się rusza, wszystko się cieszy. W okolicy pana Grzegorczuka wszystko też żyło, ruszało się i cieszyło niezmiernie, z wyjątkiem Maciusia, prześlicznego kotka, który jako faworyt panny Pyzi, znany był całemu przedmieściu. Biedny Maciuś leżał nieżywy pod parkanem na podwórzu, z łapkami wyciągniętemi, a nad jego zwłokami stał pan Grzegorczuk w towarzystwie dwóch przyjaciół, którzy stwierdzili jednomyślnie zgon przedwczesny a nienaturalny oblubieńca panny Pyzi.

Widoczną było rzeczą, w czem wszyscy trzej najzupełniej się zgadzali, że biedny Maciuś pobiegł do mieszkania pani Eufemji, tam zdradziecko został zamordowany, a potem wyrzucony na podwórze prawnego właściciela. Pan Grzegorczuk widział w tem najpierw zamach na swoją własność, następnie na zdrowie swojej osoby, albowiem wiadomą jest rzeczą, że w gorącem słońcu lipcowem każde ciało szybko się rozkłada, poczem zatruwa powietrze i powoduje najniebezpieczniejsze choroby. Maciuś zabity i wyrzucony na jego podwórze, mógł spowodować co najmniej cholerę azjatycką, która zabiłaby najpierw mieszkańców kamieniczki jednopiętrowej przy ulicy Łyczakowskiej, potem bardzo wielu innych mieszkańców Lwowa. Czyn taki był więc zbrodniczy, a kto go się dopuścił, zasługiwał jeżeli nie na śmierć, to przynajmniej na więzienie długoletnie.

Pan Grzegorczuk układał już półgłosem skargę w tym duchu, do czego przyjaciele, oglądający zwłoki Maciusia, szczerze go zachęcali — gdy na podwórzu zjawiła się postać czwarta, która wszedłszy przez furtę, zapytała skromnie o właściciela.

— Oto jestem mości dobrodzieju — odrzekł pan January — czem mogę służyć?

— Radbym pomówić z panem mecenasem na osobności, w bardzo ważnym interesie.

— Proszę mości dobrodzieja do mego gabinetu, bardzo proszę.

Rzekłszy to, pan January pożegnał obu przyjaciół, zamawiając sobie ich obecność na dzień następny, aby wespół z nim podpisali skargę na panią Eufemję, poczem przez podwórze ruszył ku kamienicy, wskazując ręką drogę swojemu gościowi.

Gdy weszli do pokoju adwokata, nowoprzybyły długo wymawiał się i kłaniał, zanim zdecydował się usiąść na wskazanem mu miejscu. Zbytnia ta skromność, nawet nieśmiałość, tak uderzyła gospodarza, że zaciekawiony wpatrzył się bystro w twarz swojego gościa.

Był to człowiek bardzo jeszcze młody, mogący mieć najwięcej lat dwadzieścia kilka, o powierzchowności ani pięknej ani brzydkiej, pełen uniżoności i słodyczy. Gdy mówił, oczy miał zawsze skromnie w dół spuszczone — a gdy szedł, stawiał nogi tak ostrożnie, że nie sprawiał nawet tego szelestu co nieboszczyk Maciuś, ilekroć skradał się do spiżarni pani Eufemji.

— Czem panu dobrodziejowi mogę służyć? — zapytał gospodarz, siadając naprzeciwko swego gościa.

— Ja panie mecenasie nie przychodzę we własnej sprawie, Boże uchowaj, ale w interesie mojego brata, którego bardzo skrzywdzono. Wpierw atoli zapytam, czy mogę liczyć na dyskrecję pana mecenasa?

— Jak na Zawiszę mości dobrodzieju, jak na Zawiszę! Tajemnica to moja rzecz... Co raz usłyszę, jak kamień w wodę rzucony. U mnie mości dobrodzieju lewe ucho nigdy nie wie, co prawe słyszało.

Po tej przemowie pan January poważnie oczy przymrużył, gość zaś rozpoczął dość długą opowieść, którą my w streszczeniu własnemi słowy powtórzymy.

IV.

Na małej wiosczynie w Kołomyjskiem żyli dwaj bracia, panowie Wojowscy. Starszemu było na imię Ignacy, młodszemu Walery. Obadwa byli dobrymi gospodarzami i obadwa myśleli tylko o powiększaniu majątku. Gdy starszy dobiegał trzydziestki, przyszedł do brata i rzekł:

— Wiesz co, Walery, postanowiłem się ożenić.

— Bardzo dobrze, a z kim jeźli wolno wiedzieć?

— Chociażby z panną Pulcherją.

— Wyśmienicie! Wprawdzie panna nie bardzo urocza, a źli ludzie twierdzą nawet, że brak jej jednego kłęba, lecz za to jedynaczka.

— Tatuś ma przeszło pół miljona.

— Wiem, wiem... a że tatuś Ormjanin i w dodatku nie stary, więc jest nadzieja, że fortunkę podwoi.

Po tej rozmowie bracia sprzedali wioskę, każdy wziął trzydzieści tysięcy do kieszeni, pan Ignacy posunął do panny Pulcherji i do trzech miesięcy odbyło się wesele.

Przed ślubem, jak między przyzwoitymi ludźmi przystało, o stosunkach majątkowych mowy nie było. Ojciec Pulcherji wiedział, że przyszły zięć jego ma trzydzieści tysięcy i jest wzorowym gospodarzem, a pan Ignacy ani chwili nie wątpił, że jedynaczka otrzyma od ojca cały majątek, wynoszący w doskonałej ziemi przeszło pół miljona.

W tydzień po ślubie, teść rozpromieniony rzucił się zięciowi na szyję, i tak przemówił:

— Wiesz mój drogi synu, że wszystko co mam, zostawię mojej córce najukochańszej. Jeżeli dziś nie oddaję wam majątku, to li dla tego, że nie będąc jeszcze starym, chcę dla was pracować. Z tem wszystkiem jednak pragnę z całej duszy, aby twój własny mająteczek już teraz się podwajał, i dla tego postanowiłem wziąść cię do spółki z twoim kapitalikiem. Wiesz jak ogromną pędzę gorzelnię, ile wołów rok rocznie sprzedaję; odtąd będziemy ten interes wspólnie prowadzili, a na końcu każdego roku będę ci oddawał sumiennie połowę czystego zysku.

Pan Ignacy przystał natychmiast na propozycję teścia, tem chętniej, gdy powszechnie wiedziano, że cały majątek ojca Pulcherji pochodził z gorzelni i ze sprzedaży wołów. Z takim spólnikiem można było na pewne zarobić.

Dwa lata pędzili gorzelnię i woły tuczyli, dwa lata teść prowadził wszystkie rachunki, aż po dwóch latach postrzegł pan Ignacy, że z pięknej jego fortunki ani grosz nie został. Wtedy teść gorzko zapłakał nad swoim zięciem, i aby nieszczęśliwego pocieszyć, przyjął go do siebie za ekonoma, z płacą roczną dwustu guldenów.

Jeżeli który z sąsiadów zapytał ojca pani Pulcherji, jak się powodzi panu Ignacemu, teść bez zarumienienia odpowiadał:

— Wyśmienicie! Będąc u mnie ekonomem, pracuje dla siebie, ja zaś jestem zadowolony, że przecie raz dostałem takiego ekonoma, który mnie nie kradnie.

Pan Ignacy nie musiał być jednakowoż całkiem szczęśliwy, albowiem zniósłszy się cichaczem ze swoim bratem Walerym, prosił go aby jak najprędzej udał się do Lwowa i tam zasięgnął rady jakiego zdolnego prawnika. Panu teściowi mogło być wygodnie z takim ekonomem, lecz zięciowi smutna ta rola nie przypadała do gustu; pragnął on zatem na swoim tyranie chociaż coś wytargować, zwłaszcza, że po niejakim czasie zebrał niewątpliwe dowody, iż pan teść nie bardzo skrupulatnie prowadził rachunki gorzelniane.

Oto posłannictwo, z którem pan Walery przyszedł do pana Januarego Grzegorczuka. (D. n.)

RÓŻNOŚCI Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Frankfurt. Zebrani obecnie w Frankfurcie nad Menem dyrektorowie scen niemieckich, postanowili włączyć do regulaminu teatrów zakaz noszenia bród i wąsów przez artystów dramatycznych i spiewaków.

Postanowienie owo motywują pp. dyrektorowie bardzo szeroko, twierdząc, iż wąs uniemożliwia charakteryzację historyczną twarzy i przy kostjumach występuje bardzo często najniewłaściwiej i najnieestetyczniej.

Londyn. W tych dniach zgasła największa osobliwość westminsterskiego akwarium w Londynie, zwierzę zwane syreną.

Wystawione od dziewięciu miesięcy na widok publiczny, najbardziej zaciekawiało ono swoją inteligencją, i było tak łagodnej natury, iż brało pożywienie z rąk i głaskać się dawało. Głowa stworzenia tego miała kształt piękny, owalny, pierś kobiety i pletwy w kształcie rąk. Złowiono je przy ujściu rzeki Esyssibo w angielskiej Gujanie.

NA STACJI KOLEI CZERNIOWIECKIEJ.

W wagonie trzeciej klasy siedzi pasażer, a obok niego leży wielki kufer.

Wchodzi nowy pasażer.

— Bądź pan łaskaw odsunąć kufer — odzywa się do siedzącego.

— Nie mam chęci — odpowiada ten ostatni.

— Będę zmuszony wezwać konduktora — grozi nowy pasażer.

— Rób pan jak chcesz.

Wchodzi konduktor.

— Bądź pan łaskaw odsunąć kufer.

— Nie mam chęci.

— Wezwę tu nadkonduktora.

— Rób pan jak chcesz.

Ukazuje się nadkonduktor.

— Jak pan możesz sprzeciwiać się słusznemu żądaniu... bądź pan łaskaw usunąć pakunek.

— Nie mam chęci.

— W takim razie zmuszony będę odnieść się do naczelnika stacyi.

— Rób pan jak chcesz.

Wchodzi naczelnik.

— Jak pan możesz być tu nieposłusznym, usuń pan natychmiast kufer.

— Nie mam chęci.

— Nie chcesz pan? przywołam żandarma, on już zarządzi, co należy; za upór zaś zostaniesz pan wysadzony z pociągu i spiszemy protokół.

— Rób pan jak chcesz.

Ukazuje się żandarm.

— Proszę usunąć kufer! — odzywa się naczelnik.

Żandarm usuwa, przystępują wreszcie do spisania protokołu.

— Bądź pan łaskaw wyjaśnić przyczynę swego uporu... dla czego nie usunąłeś pan kufra?

— Dla tego, że kufer nie jest... mój!

— A czyj?

— Kufer jest mój — wyjaśnia pasażer z drugiego końca wagonu.

— Dlaczegożeś pan nie powiedział wcześniej?

— Dla tego, że... nikt mnie o to nie pytał.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.